



A. Wagner. „Bacchanalia”.



Artur Grottger. „Wieczór letni” z sylwetką Grottgera (autor).

Zaczem tłum zerwał Polana z siodła i wśród śpiewów i grzmotu trąb na własnych barkach niósł do zamku, a za nim niesiono jego szpadę, którą rzucił na znak, że po zwycięstwie nie militarysta będzie rządził sprawami kraju. I gdy zamknął oczy, znużony i zmęczony na jednym z łóżek zamkowych, powtarzał sam do siebie: Czy to bajka? Czy to sen?...

Bajka, czy sen? W przeciągu prawie że kilku godzin nieznanemu kapitan inżynierowi staje się naczelnikiem państwa, głową wielkiego kraju, jak Byron po pewnej nocy budzi się sławnym... Nie — — tak łatwo, tak nadzwyczajnie nie zaczynają się rzeczy, z których niema wynikać nic, nie zaczynają się na to, aby z nich nic nie powstało.... Jest to przekroczony próg jakiejś olbrzymiej budowy, której on sam ani rozmiarów ogarnąć, ani wysokiego sklepienia sięgnąć wzrokiem nie mógł. Czuł tylko, że leci dokądś, jak strzała wypuszczona z napiętej przez Heraklesa cięciwy.

I oto leży w zamku królewskim na łożu, podczas gdy właściciel prawy tego zamku, z jego rozkazu jedynie, gdzieś na obczyźnie, wygnany jego wolą...

Król Andrzej, Marko Slavicz, Zaskalicz, wojsko, obywatele, tłum: wszystko to jest wosk w ręku, tylko nie trzeba nikogo i nic kochać, tylko trzeba być, jak dziób statku, przycupający fale.

Jest panem wielkim, absolutnym panem...

I skręcił się na łożu, bo mu się wydało, że mu ktoś przygniótł ramię. Ah, tak! To długie, wązkie, a silne od sportów palce księżniczki Metelli Teresy...

Jej twarz pochyla się nad nim — — szafirowe wielkie oczy patrzą nań, blisko, blisko... Już piersi jej dotykają jego okrycia, dwie piersi okrągłe, stojące, wypukłe...

Ha!

Kapitan Polan porwał się z postania i siadł na łożku. Widziadło znikło.

Legł.

I znów księżniczka Metella Teresa pochylała się nad nim, piękna, żądna, zuchwała...

Polan odrzucił okrycie i usiadł na łożku z nogami na ziemi. Mężka jego namiętność płomieniała.

Poszedł ku umywalni i począł się oblewać zimną wodą, ale to nie pomagało.

Dyabli! Dyabli! — powtarzał.

Wreszcie wciągnął spodnie, narzucił na siebie pelerynę i wyszedł w korytarze. Pusto było zupełnie.

I mimowoli prawie skierował się ku schodom do apartamentu księżniczki, gdzie była zamknięta pod strażą czterech robotników w towarzystwie dodanej sobie do obsługi kobiety. Aliści na pierwszym schodzie, wiodącym na górę, ujrzał siedzącą postać mężką, w płaszczu, z głową zwieszoną w dół, ku pierśsiom. Człowiek spał.

Zbigniew Polan zbliżył się i poznał: to był Marko Slavicz.



Cyprian Norwid. Akwafora.

Uśmiech niechęci, lekceważenia, wzgardy skrzywił usta Polana. W pierwszej chwili miał ochotę stopą strącić Slavicza ze schodu.

— Śpi... Bydle!... Czuwa nad nią...

Nad nią!...

Złapać go i udusić...

Kapitan Polan był bardzo silny i wygimnastykowany. Skręcić kark Slaviczowi, ażby kręgi pękły, byłoby sprawą paru sekund...

Bydle!...

Idealista!...

Reformator!...

Adorator!...

Bestya! Sprzątnąć, usunąć...

Iść dalej?

A jeżeli się obudzi, jeżeli spostrzeże? Jeżeli się domyśli?

Czegoż się domyśli?

Jakto? Nie iść dla tego, że tu, na schodzie, śpi jakiś Marko Slavicz? Nie uczynić tego, co się chce, dla tego, że jakiś człowiek znajduje się na drodze, — przez wzgląd na kogoś?

I Zbigniew Polan minął Slavicza i pewnym krokiem począł wstępować na piętro.

— Kto idzie? — zapytał robotnik, stojący na straży.

— Dyktator.

— Słucham Waszej miłości.

— Czy księżniczka śpi?

— Pewnie.

— Teodorowa jest przy niej?

— Jest. To pewna kobieta.

Polan zawahał się. Nie — wejść tam było niepodobna... Ach! Gdyby